—ADAM—

PRZECHRZTA

ANTYKWARIAT POD SALAMANDRĄ

TOM I Nº

Ilustracje
Dominik Broniek

fabryka słów®
Warszawa

◦ CYKL MONS VIRIDIS MAGICUS ◦

◦

1. Antykwariat Pod Salamandrą
2. Mroczne drogi
3. Strażnik bram

1
ROZDZIAŁ

Otworzyłem drzwi jak co rano, dodając do obrotów klucza niemal niewidoczny dla postronnych gest przypominający strzepnięcie palców. Wewnątrz powitał mnie zapach farby drukarskiej i skórzanych okładek: większość książek miała przynajmniej sto lat, a zdarzały się i starsze. Dźwigające całe to bogactwo regały pochodziły z początków dziewiętnastego wieku, stanowiąc nieme świadectwo solidnego rzemiosła dawnych mistrzów.

Przekręciłem bakelitowy przełącznik i pomieszczenie zalało ciepłe, pomarańczowożółte światło, wydobywając z półmroku meble i mahoniowy kontuar. Włączyłem radio, lampowego philipsa z lat dwudziestych zeszłego wieku, po chwili rozległy się pierwsze tony „Dippermouth Blues". Dźwięk był krystalicznie czysty, muzykę nadawała nieistniejąca od sześćdziesięciu lat stacja.

Przestąpiłem iluzję ściany i znalazłem się w drugiej części antykwariatu, tej dla wtajemniczonych. I tak! Magia istnieje także teraz, w dwudziestym pierwszym wieku. Nie zastanawialiście się nigdy, dlaczego nagle większość ludzi przestała wierzyć w magię, alchemię czy astrologię, mimo że były one czymś oczywistym dla największych geniuszy w dziejach ludzkości? Naukowców, władców, papieży? Czy naprawdę jesteśmy mądrzejsi od Newtona albo Kopernika tylko dlatego, że mamy radio, telewizję i Internet? W magię wierzyli tacy ludzie jak Julian Ochorowicz, jeden z badaczy telewizji i elektroakustyki; wierzył inżynier Piotr Lebiedziński, wynalazca „kinematografu Lebiedzińskiego", pionier polskiej fotografii; wierzył i Stefan Manczarski, konstruktor pierwszego polskiego odbiornika lampowego, człowiek, który opatentował w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku telewizor, profesor Politechniki Warszawskiej, dziekan pierwszego w Polsce wydziału cybernetyki...

Nie żebym był ekspertem w tej dziedzinie, znam tylko kilka prostych sztuczek, w świecie magii jestem postronnym; prawdziwym magiem był mój ojciec. Podobno gdzieś w antykwariacie znajduje się przejście do magicznej Zielonej Góry, czy raczej *territorio Grunenbergensi*, niestety, niedostępne dla takich jak ja. Jestem tylko przechodniem, osobą, która dostrzega magię, jednak nie potrafi się nią sprawnie posługiwać, bo to domena obywateli, prawdziwych magów i alchemików. Dawniej wiele bym dał, aby móc o sobie powiedzieć: *civis sum* – w świecie magii nadal mówi się po łacinie. Dziś po prostu prowadzę antykwariat. Prawda, że nie do końca zwyczajny.

Dwa wypchane homunkulusy flankowały pomieszczenie nazywane *sanctum*, co oznacza tyle co azyl albo świątynia. Tu mieli wstęp jedynie obywatele, ludzie zdolni przejrzeć iluzję.

Jak co dzień wszedłem na ambonę, pozostałość nieistniejącego już kościółka z szesnastego wieku, i rozejrzałem się po swoim królestwie. Półki uginały się pod ciężarem inkunabułów – niektóre z nich oprawiono w ludzką skórę – dzienników badaczy magii i publikacji tajnych, dawno zapomnianych towarzystw i klubów. Na jednym ze stolików leżał unikatowy egzemplarz „Erz Stuffen und Berg Arten mit Farben genau abgebildet" Casimira Christopha Schmidela. Wydana w tysiąc siedemset pięćdziesiątym trzecim roku praca zawiera ręcznie kolorowane i złocone miedzioryty przedstawiające rudy metali, jednak istnieją trzy starodruki zawierające zaszyfrowane wskazówki dla alchemików. To jeden z nich. Oceniałem jego wartość na przynajmniej tysiąc aureusów. Magowie nie wierzą w elektroniczne czy papierowe pieniądze, w świecie magii nadal płaci się złotem, jak tysiące lat temu. Magiczne aureusy nie różnią się wagą od oryginalnych z czasów Oktawiana Augusta, każdy zawiera niemal osiem gramów czystego kruszcu. Tyle że przedstawione na nich postacie nie mają nic wspólnego z rzymskimi władcami, lecz symbolizują istoty, które z braku odpowiednich określeń można by nazwać bóstwami. To nie abstrakcyjne wyobrażenia, tylko realnie istniejące siły: magowie je wzywają, a one odpowiadają...

Zadźwięczał dzwonek u drzwi, więc pospiesznie wyszedłem z obszaru iluzji. Czasami, prawda, że rzadko, mój sklep odwiedzają i zwykli ludzie, choć staram się

zniechęcić ich na wszelkie sposoby, przypadkowy przechodzień może dostrzec przez zakurzoną szybę jedynie kilka przedwojennych podręczników i stos pożółkłych gazet. Także na wpół zamazany szyld nie zachęca do odwiedzin antykwariatu.

Starszy mężczyzna miał na sobie trencz. Widząc mnie, zdjął elegancki homburg i powitał mnie lekkim, niemal niedostrzegalnym ukłonem. Młodszy, w skórzanej kurtce i kaszkiecie, przypominał ulicznego chuligana.

Kiedy podszedłem bliżej, palce starszego nakreśliły w powietrzu siedmioramienną gwiazdę, a ta rozbłysła złotem. Znaczy obywatel, i to nie z tych zwykłych.

– Pozwoli pan? – zapytał.

– Zapraszam.

Zaproszenie w świecie magii to rytuał, choć szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czy ma on jakiekolwiek praktyczne znaczenie, rzadko spotykam się z obywatelami, no i nie jestem zainteresowany magią. Ten etap mam już za sobą.

Mężczyzna wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, pociągłą twarz okalała krótko przycięta broda w odcieniu toledańskiej stali, szare oczy czujnie obserwowały otoczenie, jakby nieustannie poszukiwały zagrożenia. W ręku trzymał hebanową laskę ze srebrną gałką przedstawiającą łeb chimery. Zauważywszy, gdzie patrzę, uśmiechnął się przepraszająco i podał mi laskę.

W pierwszym momencie zbaraniałem. Czyżby mój dzisiejszy klient wziął mnie za lokaja? W sekundę później dostrzegłem poniżej gałki wyryte w srebrze runy i łaciński napis: *Magister militum praesentalis*. Trwało dobrą chwilę, zanim dotarło do mnie znaczenie inskrypcji.

Wyglądało na to, że miałem do czynienia z kimś w rodzaju ministra odpowiedzialnego za wojska wewnętrzne, policję i służby specjalne, a laska była oznaką rangi i zarazem orężem. Oddając ją, mój gość przepraszał, że wszedł do mojego domu z bronią. Tylko skąd ta atencja dla zwykłego przechodnia?

– Dominik Krajewski – przedstawił się krótko.

Tym razem w jego głosie usłyszałem delikatny obcy akcent. Mówił po polsku jak cudzoziemiec świetnie znający nasz język albo jak Polak, który spędził pół życia za granicą.

– Janusz Magnuszewski – odwzajemniłem się równie lakonicznie.

Umieściłem laskę w stojaku na parasole, wskazałem Krajewskiemu fotel i sam usiadłem naprzeciwko.

– Czym mogę służyć? – spytałem.

Drgnąłem, słysząc szczęk zamka, to przyboczny Krajewskiego zamknął drzwi antykwariatu i wywiesił kartkę z napisem „Nieczynne".

– Informacją, być może pomocą. Proszę się nie denerwować, mój asystent pilnuje tylko, żeby nikt nam nie przeszkadzał. I jeszcze jedno: mógłbym poprosić o szklankę wody? Podróż była dość fatygująca i zaschło mi w gardle.

– Może piwa?

– Chętnie.

Zielona Góra słynie z wina, ale jakoś nie mam ręki do winiarstwa, za to piwo wychodzi mi całkiem nieźle. Zszedłem do piwnicy i nalałem trzy kufle z beczki oznaczonej gwiazdą piwowarską. Ten symbol wykorzystywali już Sumerowie, a i dzisiaj niektóre browary wspomagają

się magią, tyle że bez rozgłosu, w końcu kto by chciał uchodzić za wariata?

Podając napój asystentowi Krajewskiego, przyjrzałem się dokładnie jego dłoniom. Twarz i oczy potrafią kłamać, ręce – nigdy. To były dłonie wojownika o silnych palcach i masywnych, wzmocnionych wieloletnimi ćwiczeniami knykciach, choć zastanawiało, po co magowi umiejętność walki wręcz.

Mężczyzna podziękował gestem i powrócił do obserwacji ulicy.

Ściągnąłem brwi, widząc, że Krajewski nie ruszył swojego piwa, najwyraźniej czekał, aż znowu usiądę. Uniosłem naczynie w niemym toaście i pociągnąłem łyk pienistego napoju. W odpowiedzi mój gość błyskawicznie osuszył kufel, rzeczywiście musiał być spragniony.

– Znakomite! – skomplementował z wyraźnym zaskoczeniem. – Sam pan je warzy?

– Owszem. Może jeszcze?

– Chętnie, ale później. Teraz chciałbym omówić kilka spraw. Spraw niecierpiących zwłoki – zaznaczył z naciskiem.

– Słucham.

– Potrzebuję... Potrzebujemy pańskiej pomocy.

– My?

– *Civitas* – odparł krótko. – Państwo. Provincia Sclavonia.

Zmarszczyłem brwi. Słowiańszczyzna? Nie byłem ekspertem w dziedzinie magicznej geografii, ale co nieco wiedziałem: cała Europa podzielona była na prowincje zarządzane przez Senat, zwany niekiedy Wysoką Radą,

ten z kolei wyznaczał urzędników administrujących poszczególnymi regionami. Takich jak *magister militum*. Tylko co to ma wspólnego ze mną?

– Nie władam magią, nie chcę władać magią i nie mam zamiaru zmieniać tego stanu rzeczy. Zresztą pewnie to niemożliwe. Od czasu do czasu sprzedaję coś obywatelom, to wszystko.

Krajewski skrzywił się lekko, po czym z westchnieniem podsunął mi pusty kufel. Co było robić? Ponownie zszedłem do piwnicy.

– Nie chcę pana do niczego zmuszać – powiedział, kiedy wróciłem. – Jednak sytuacja nie jest taka prosta, jak pan sądzi. Mówiąc krótko, już jest pan wmieszany w pewne sprawy.

– A to w jaki sposób?

– Czy ostatnio zdarzyło się coś niezwykłego? – odbił pytanie. – Coś, co naruszyło pański spokój, może rutynę dnia codziennego?

– Nie sądzę – odparłem niezdecydowanie. – Nic ważnego.

– A jednak? – naciskał. – Nie pytam z czczej ciekawości, być może od tego zależy pańskie życie. I nie tylko pańskie – dodał ciszej.

Zanim zdecydowałem się, co odpowiedzieć, przerwał nam drażniący uszy świergot. Zadziałał jeden z amuletów. Zwykły człowiek niczego by nie usłyszał, ale rozmawiałem z obywatelem...

– To atak – stwierdził z zimną krwią Krajewski. – Magiczny atak.

Zawtórował mu łoskot spadających książek. Zakląłem, ostatnio wandale zniszczyli mi w ten sposób osiem-

nastowieczny egzemplarz „Histoire de Gustave-Adolphe, roi de Suede".

Rzuciłem się ratować książki.

– Adrian! Zajmij się tymi chuliganami!

Odłożyłem woluminy na półkę i z ociąganiem wróciłem do stołu. Cóż, nie da się ukryć, że rozmowa z Krajewskim mnie zaniepokoiła. Czyżby ostatnie wydarzenia były czymś więcej niż zemstą prowincjonalnej czarownicy?

– Co to było? – spytał Krajewski.

– Niedawno przybyła do Zielonej Góry niejaka Roza Seider – odparłem z ciężkim westchnieniem.

– Trzydzieści pięć lat, szczupła szatynka?

– Nie widziałem jej dokumentów, reszta się zgadza.

– Przybyła i... – zawiesił wymownie głos.

– Odniosłem wrażenie, że jest mną zainteresowana – powiedziałem z kamiennym wyrazem twarzy. – Wpadła do mnie przejrzeć książki, kupiła jakiś drobiazg i oczywiście zademonstrowała, że jest obywatelem.

– Co było dalej? Spał pan z nią?

– To moja...

– Nie! Być może kiedyś to była pańska sprawa, teraz już nie – oznajmił chłodno. – Jestem pańskim gościem, siedziałem za pańskim stołem i wolałbym nie używać nadanych mi uprawnień. Jednak jeśli będzie trzeba, nie zawaham się nawet przez chwilę!

Nie jestem tchórzem, ale daleko mi do bohatera i potrafię wyczuć niebezpieczeństwo. Tak jak teraz. Krajewski nie żartował.

– No dobrze – przyznałem z ociąganiem. – Przespałem się z nią. Raz.

– Czego od pana chciała? Bo czegoś chciała, prawda?

– Kupić mój antykwariat. Rzecz jasna, odmówiłem.

– I wtedy zaczęły się te zabawy z telekinezą? – Wskazał na regały.

– Mniej więcej. Nie przywiązywałem do tego większej wagi, bo jak powiedziałem, nie jestem ekspertem magii, ale ojciec nauczył mnie, jak się bronić. Myślałem, że to tylko sfrustrowana baba, której nie udało się okpić naiwnego kmiotka.

Tym razem go rozbawiłem, usta starszego mężczyzny rozciągnęły się w oszczędnym uśmiechu.

– Chyba się pan nie docenia – stwierdził z ledwo wyczuwalną ironią. – Ten pański amulet blokuje większość wrogiej mocy, dlatego spadło tylko kilka książek, a nie zawalił się sufit. Jak na kogoś bez obywatelstwa, to imponujące osiągnięcie.

– Ona jest niebezpieczna? – spytałem z napięciem. – Roza?

– Ta Baba-Jaga? Skąd!

– Baba-Jaga?

– Przepraszam, to zawodowy żargon. Tak określamy wiejskie czarownice o niewielkiej mocy.

– Ładna mi niewielka...

– Nie powinna pana atakować – przyznał. – To nieetyczne. Jako przechodzień nie ma pan dostępu do źródeł magii. Jednak w porównaniu z innymi obywatelami... – Wzruszył ramionami.

– Więc w czym rzecz?

– Orientuje się pan, w jaki sposób można zostać obywatelem?

– Oczywiście. Trzeba posiadać ponadprzeciętną moc.

Krajewski przecząco pokręcił głową.

– Nie, wystarczy posiadanie magii – powiedział. – A tę ma każdy człowiek, po prostu nie wszystkim wystarcza cierpliwości i chęci, żeby sobie to uświadomić.

– Mój ojciec...

– Pański ojciec chciał pana chronić – przerwał mi. – Pewne sygnały można było dostrzec już jakiś czas temu.

– Sygnały czego? I Baba... Roza mówiła to samo. Że obywatelstwo nadaje się tylko ponadprzeciętnie utalentowanym.

– Kłamała. Rzecz jasna, z innego powodu niż pański ojciec. Chciała zrobić na panu wrażenie.

– Gdyby wystarczyło posiadanie magii, dawno byłbym obywatelem – stwierdziłem z goryczą.

– Nie. Najpierw musiałby pan zgłosić chęć posiadania obywatelstwa odpowiedniemu urzędnikowi i zasłużyć się dla państwa. Zakładam, że i o tym ojciec pana nie poinformował?

Skinąłem głową.

– Obywatelstwo jest jak dostęp do źródła prądu – kontynuował Krajewski. – Bez niego nie ma magii, prawdziwej magii. Nie zastanawiało pana nigdy, dlaczego dawniej organizowano wszelkiego typu sabaty, mimo że zwiększało to niebezpieczeństwo wykrycia samych czarownic? Przecież jest pan historykiem.

– Widać nie najlepszym – wykrztusiłem oszołomiony.

– Sabaty były czymś w rodzaju niezależnych republik magicznych. Rzecz jasna, zrzeszały nieprawomyślnych, dlatego Senat zawsze je zwalczał. Niemniej miały możliwość zaoferowania adeptom podstawowej łączności ze źródłami magii.

– Więc Roza...

– Roza chce dostępu do świata magii czy jak się go czasem nazywa: Głębokiego Świata, a takie przejście jest tylko w pańskim antykwariacie. Do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku w Grünbergu istniały trzy portale, ale dwa zniszczyli przed ucieczką w głąb Niemiec ich właściciele. Teraz został tylko jeden, pański. Poza tym po śmierci pańskiego ojca wakuje urząd sędziego. Tak, pańskiemu ojcu przysługiwał tytuł *iudex territorio Grunenbergensi*. To łakomy kąsek, bo sędzia w praktyce zarządza okolicą w imieniu Wysokiej Rady. A nie można sprawować tego urzędu bez spełnienia kilku warunków, jeden z nich to dostęp do świata magii.

– Ale skoro ona jest obywatelem...

– To daje jej możliwość skorzystania ze źródeł magii, ale te naprawdę duże istnieją tylko w Głębokim Świecie i żaden posiadacz portalu nie przeniesie tam nikogo ot tak.

Otarłem pot z czoła i pociągnąłem kilka łyków piwa, starając się otrząsnąć z oszołomienia.

– Rzecz jasna, problem nie tylko w nadmiernych ambicjach pani Seider – kontynuował z posępną miną Krajewski.

– Rozumiem, że taki drobiazg jak kłopoty miejscowego antykwariusza nie zmusiłby pana do odwiedzenia Zielonej Góry?

– Istotnie – przyznał, nie odwracając wzroku. – Takimi rzeczami zajmował się pański ojciec. Utrzymywał porządek na terenie miasta. Gdyby żył, pani Seider bałaby się opuścić swoją wioskę. Ona pochodzi z rodziny frankońskich magów, którzy przybyli tu w dwunastym

wieku dla uprawy winorośli, dlatego jej dom ma połączenie z pańskim portalem, a co za tym idzie z Głębokim Światem, jednak ilość energii, jaką można w ten sposób czerpać, jest znikoma – wyjaśnił, widząc, że nie rozumiem. – A ona chce więcej, dużo więcej.

Trzasnęły drzwi i do antykwariatu wszedł Adrian.

– Załatwione – rzucił nonszalancko, ponownie zajmując pozycję przy szybie wystawowej.

– Co się z nimi stało? – spytałem niespokojnie.

Ostatnie, czego mi było trzeba, to kilka trupów pod sklepem.

– Nic specjalnego – odparł obojętnie Adrian. – Zabrałem im magię. Dożywotnio. Najwyraźniej ktoś tu tworzył własny sabat.

– Więc można zabrać komuś...

– Można – przytaknął Krajewski. – Mam taką władzę. *Ex Senatus consulto.* Niesprowokowany atak magiczny to poważne przestępstwo, myślę, że na jakiś czas będzie pan miał spokój z panią Seider.

– Dziękuję. A przechodząc do sedna?

– Zielona Góra od początku była centrum magii, magiczne zabiegi towarzyszyły uprawie winorośli od zarania dziejów. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, choć w swoim czasie spalono kilka miejscowych czarownic. Niestety, w latach dwudziestych zeszłego wieku sytuacja się skomplikowała, bo dostęp do Głębokiego Świata uzyskali fanatycy i naziści, a Wysoka Rada z oczywistych względów nie mogła ich... zdyscyplinować.

Mruknąłem potakująco. Nie było nijaką tajemnicą, że przywódcy Trzeciej Rzeszy, nie wyłączając Hitlera, interesowali się okultyzmem.

– Pod koniec wojny, kiedy nawet dla największych fanatyków stało się jasne, że Tysiącletnia Rzesza nie przetrwa nawet piętnastu lat, niemieccy magowie sięgnęli tam, gdzie nikt dotąd nie odważył się sięgać.

– To znaczy?

– Nasza rzeczywistość przypomina strukturą Internet: poza ogólnie dostępną warstwą są jeszcze Deep Web i Dark Web.

– Odpowiednik Deep Webu to Głęboki Świat?

– Owszem. Niestety, istnieje coś jeszcze, miejsce, gdzie nikt nie powinien się zapuszczać, obszar działania pierwotnych mocy. Te używane przez magów są przefiltrowane przez osobowość istot, które nazywamy bogami.

– Więc oni...

– Tak. Stworzyli portal do Nigdzie. Uznali, że niepotrzebny im świat bez Trzeciej Rzeszy.

– Co się stało?

– Tego nikt nie wie. Pewne jest tylko, że nie dokończyli rytuału.

Skinąłem głową. Rosjanie po wkroczeniu do miasta rozpętali trwającą wiele tygodni orgię zniszczenia, dopuszczając się okrucieństw nie do opisania. Pięciuset mieszkańców Grünbergu odebrało sobie życie w ciągu pierwszych dwóch tygodni sowieckiej okupacji. Notorycznie pijani czerwonoarmiści – w Grünbergu znajdowały się spore zapasy alkoholu – rozdawali śmierć niezależnie od pory dnia i nocy, a przed kulą nie uchroni żadna magia.

– Więc w czym problem?

– Naziści nie zdołali otworzyć portalu, ale on nadal gdzieś tu jest.

– I co z tego? Skoro do tej pory go nie odnaleziono?

– Niestety, wydarzenia ostatnich tygodni wskazują, że albo ktoś go odnalazł, albo bardzo intensywnie szuka. Było oczywiste, że prędzej czy później do tego dojdzie, dlatego pański ojciec nie chciał, żeby pan wszedł do Głębokiego Świata. Uważał, że w ten sposób pana ochroni.

– Co mi grozi?

– Żeby uruchomić portal, potrzebne jest połączenie z magiczną Zieloną Górą, a takie jest tylko jedno: w pańskiej piwnicy. Dopóki żył pański ojciec, nikt nie odważyłby się nawet o tym pomyśleć, ale teraz... – Rozłożył wymownie ręce.

– W piwnicy? – udałem zdziwienie.

W rzeczywistości doskonale wiedziałem, gdzie znajduje się portal, choć sam nigdy z niego nie korzystałem.

– Rzecz jasna. Sam budynek pochodzi z dziewiętnastego wieku, za to piwnice są dużo starsze. Według naszych kronik portal powstał w piętnastym wieku.

– Czego ode mnie chcecie?

– Współpracy. Jeśli nam pan pomoże, nadamy panu obywatelstwo, a w przyszłości poprzemy pańską kandydaturę na stanowisko sędziego *territorio Grunenbergensi*.

– Do czego jestem wam potrzebny?

– Mamy swoich ludzi w policji, ale to nie są nawet przechodnie. Ktoś musi nadzorować śledztwo z ramienia Wysokiej Rady. Ktoś magicznie związany z Zieloną Górą. A takich jest tylko dwoje: pan i Baba-Jaga...

– Śledztwo? Co się stało?

– O tym później. Kiedy wprowadzę pana w szczegóły, nie będzie już odwrotu, na razie proszę to przemyśleć.

Zanim zdobyłem się na odpowiedź, *magister militum* podniósł się z fotela, sięgnął po laskę, ukłonił się

i wyszedł bez słowa. Czułem się, jakbym ugrzązł we śnie, a może w koszmarze? O tym, że wizyta Krajewskiego nie była przywidzeniem, świadczył tylko rozedrgany trel umocowanego nad drzwiami dzwonka.

○

Uregulowałem płomień lampy naftowej, przez moment rozbłysły wyryte na szklanym kloszu runy. Lampę zaklął jeszcze mój ojciec, dlatego nie trzeba było dolewać do niej nafty, a światło nie raziło w oczy. Jak i ja, lubił poczytać przed snem.

W zasięgu ręki miałem „Trzech panów w łódce", jednak tylko przekartkowałem książkę. Bogiem a prawdą nie było mi do czytania. Mimo że od wizyty Krajewskiego minęło kilka godzin, nadal byłem roztrzęsiony. Nie, nie wdawałem się w dywagacje, co będzie, jeśli ktoś otworzy portal, nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, martwiły mnie bardziej przyziemne problemy. Jeśli Różyczka chciała zostać sędzią albo choćby agentem Senatu, musiała się mnie pozbyć. Gdyby udało jej się to zrobić bez zwracania uwagi Rady, ten sam *magister militum*, który dziś mnie komplementował i obiecywał złote góry, zaakceptowałby ją bez mrugnięcia okiem. W imię wyższych celów. Do tego dochodzili poszukiwacze portalu, im także potrzebny był mój antykwariat, a biorąc pod uwagę zdenerwowanie Krajewskiego, człowieka, dla którego pani Seider była budzącą politowanie wiejską czarownicą, ci mogli o wiele więcej niż potomkini zielonogórskich winiarzy. A ja byłem tylko przechodniem...

Spojrzałem na zegarek, dochodziła północ, więc niecierpliwym gestem odgoniłem niechciane myśli i jak

zwykle w takich sytuacjach postanowiłem oderwać się od rzeczywistości i zanurzyć w magii. To nic trudnego, rzecz wymaga jedynie odrobiny cierpliwości, a zatem cechy, której brakuje większości ludzi.

Istnieje wiele metod, aby poczuć magię, mój ojciec był zwolennikiem chińskiej drogi.

Stanąłem na lekko ugiętych nogach, rozluźniłem całe ciało i czekałem, aż przebudzi się magia. Chińczycy nazywali ją *chi*. Z pozoru to nic trudnego, ale spróbujcie kiedyś stanąć nieruchomo choćby na pięć minut i powstrzymać natłok natrętnych myśli, nie napinając przy tym żadnych mięśni. Jeden z chińskich klasyków pisał: „Słyszałem, że w starożytności żyli ludzie zwani Nieśmiertelnymi. Stali oni nieruchomo pomiędzy niebem a ziemią i łącząc się z Wszechświatem, kontrolowali zarówno yin, jak i yang, dwie podstawowe siły natury".

Po kilku minutach poczułem ciepło, później przepływającą przez ciało energię, wszystkie zmartwienia zniknęły niczym krople rosy w promieniach słońca. Na chwilę.

○

Wyrecytowałem łacińską formułkę, przysięgając wierność Wysokiej Radzie. Na szczęście rytuał nie przewidywał pokłonów czy padania na twarz, podczas kiedy w Afryce czy Azji podobna ceremonia zawierała takie elementy. I tak, Senat rządził tylko Europą i niewielką częścią Afryki, istniały też inne organizacje zrzeszające magów.

Krajewski poprosił mnie, żebym usiadł – spotkaliśmy się w niewielkim hotelu – po czym położył na stole obrączkę z czarnego żelaza.

– To znak, że jest pan obywatelem – powiedział. – Nie zawsze można kreślić w powietrzu magiczne symbole.

Włożyłem pierścień, a kiedy go dotknąłem, pojawił się napis: *Eques Romanus*. Zaniemówiłem.

– Tytuł się panu należy – wyjaśnił z wesołym błyskiem w oku Krajewski. – W końcu jest pan szlachcicem.

– Ale...

Swego czasu sprawdziłem drzewo genealogiczne swojej rodziny (ku nieskrywanemu rozbawieniu ojca) i okazało się, że wszyscy moi przodkowie na przestrzeni ostatnich trzech wieków byli zwykłymi chłopami.

– Król Zygmunt Stary nadał doktorom i profesorom „dla większej chwały Bożej, pożytku Kościoła i sławy Królestwa" prerogatywy stanu szlacheckiego. A pan przecież obronił doktorat – powiedział Krajewski z lekkim zniecierpliwieniem. – Senat z zasady akceptuje lokalne przepisy, a ten akurat przywilej został udzielony *perpetuo et in aevum*, czyli na zawsze.

– Ro... rozumiem.

– Kolejna sprawa. – Tym razem Krajewski położył na stole ciężki złoty sygnet z purpurowym kamieniem. – Ten znak, w odróżnieniu od poprzedniego, otrzymuje pan czasowo i warunkowo, identyfikuje on pana jako osobę działającą w imieniu Wysokiej Rady.

– Jako *agent in rebus*? – spytałem domyślnie.

– Dziś raczej rzadko używamy tego terminu, ale i owszem, można to tak określić. To ogromna władza, ale i ogromna odpowiedzialność. Za nadużycie władzy danej

panu przez Senat albo za działanie przynoszące szkodę Wysokiej Radzie lub ogółowi obywateli jest tylko jedna kara: śmierć. Czy dobrze mnie pan zrozumiał?

– Tak – wymamrotałem przez ściśnięte gardło.

– Wielu moich... kolegów uważa, że przekazuję panu ten znak pochopnie i przedwcześnie, proszę mnie nie zawieść.

– Postaram się. Czego pan ode mnie oczekuje?

– Nie ja. *Senatus populusque Romanus.* Senat i lud rzymski – poprawił z naciskiem. – Obywatele magicznej republiki. Czego się od pana oczekuje? Nadzoru nad śledztwem. Ostatnio miało tu miejsce kilka podejrzanych zgonów, akta sprawy otrzyma pan jutro. Wykrycia, a jeśli zajdzie taka potrzeba, neutralizacji sprawców. Tu może pan liczyć na pomoc kompetentnych organów. Zgłębiania magii. Im szybciej otworzy pan portal i wejdzie do Głębokiego Świata, tym lepiej. Także dla pana. Wreszcie utrzymania porządku na terytorium miasta i okolic. Rzecz jasna, chodzi o magów. Obecnie jest pan jedyną w promieniu kilkuset kilometrów osobą pełniącą, niechby i chwilowo, funkcje urzędowe. Tylko proszę nie przesadzić, akolici pani Seider zostali już ukarani.

– Nie zamierzam się mścić – odparłem.

– To dobrze. I jeszcze jedno. Wraz z aktami sprawy, którą ma się pan zająć, otrzyma pan zbiór dokumentów i instrukcji naświetlających sytuację w republice, a także prawa i obowiązki obywatela.

– A gdybym chciał dowiedzieć się więcej?

– W każdym magicznym mieście znajduje się biblioteka. Jeśli przejdzie pan przez portal, cała wiedza magicznego świata będzie do pańskiej dyspozycji.

– Jak mam to zrobić?! – wybuchnąłem. – Nic nie wiem o magii!

– Ma pan u siebie przecież grymuary. Od dzisiaj będzie mógł pan korzystać ze źródeł magii, prawda, że w niewielkim stopniu i niebezpośrednio, jednak powinno to otworzyć przed panem nowe możliwości. Pamięta pan, co pisano w starych podręcznikach jogi? Joga nauczy cię jogi. Magia nauczy cię magii. Po prostu musi pan praktykować.

– Czy w okolicy przebywają też inni obywatele?

– Na pewno. W samej Zielonej Górze jest ich kilkunastu, byłoby dobrze, gdyby zwołał pan zebranie i zapoznał ich ze sprawą. Problem z portalem do Nigdzie to sprawa nas wszystkich, jednak odradzałbym powoływanie się na Senat bez skrajnej konieczności. Lepiej, aby nie kojarzyli pana z władzą.

Przytaknąłem. W sytuacji kiedy dopiero miałem zapoznać się z magią, lepiej było nie szarżować.

– Magiczna poczta? – spytałem.

– Tak będzie najlepiej. A oto wizytówka z telefonem Adriana. On pomoże panu, gdyby doszło do... konfrontacji.

– Rozumiem i dziękuję.

Krajewski wstał, sygnalizując, że zakończyliśmy rozmowę, tym razem na pożegnanie podał mi rękę. Cóż, byłem już obywatelem.

○

Szczerze mówiąc, do dziś nie wiem, jak działa magiczna poczta, choć sam kilkakrotnie z niej korzystałem, wysyłając listy ojca. Na ulicy Jedności znajduje się budynek

dawnej poczty konnej, powstały około połowy osiemnastego wieku, choć ponoć dużo wcześniej podobną rolę pełnił nieistniejący już obiekt drewniany. W latach trzydziestych dziewiętnastego wieku ogłoszono przetarg na karczmę przy stacji, wygrał go znany zielonogórski winiarz Fryderyk Wilhelm Dehmel, a Post-Gaststube zdobyła ogromną popularność zarówno u podróżnych, jak i mieszkańców Grünbergu. Później stację zlikwidowano, bo w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku Zielona Góra otrzymała połączenie kolejowe. Wówczas zakończyła działalność i karczma. Dziś znowu dokładnie w tym samym miejscu funkcjonują restauracja i hotel znane jako Zajazd Pocztowy. Dla magów to coś w rodzaju skrzynki pocztowej.

Przez szeroką, przeznaczoną dla powozów bramę wszedłem na podwórze i skierowałem się tam, gdzie dawniej znajdowała się kuźnia, szeptem wymówiłem łacińską formułę i zlikwidowałem iluzję. Magiczna skrzynka pocztowa miała kształt pokrytego runami marmurowego stołu. Położyłem list na blacie, na moment w powietrzu niczym na ekranie laptopa pojawiła się treść pisma, po czym list zniknął. Wiedziałem, że pojawi się w postaci niematerialnej w gabinecie każdego obywatela w okolicy. Przy okazji dowiem się może, jaki obszar obejmuje *territorio Grunenbergensi*, bo na pewno nie chodzi o samo miasto.

Odwróciłem się gwałtownie, czując na plecach powiew chłodu, ale podwórze zajazdu było puste. Ki czort? Chyba że prawdą jest, iż magowie reagują na miejsca, gdzie w przeszłości coś się działo. Na energię dawno przebrzmiałych wydarzeń i dawno nieżyjących ludzi.

W końcu magia opiera się na tradycji. Tylko co takiego mogło wydarzyć się na stacji pocztowej albo w karczmie? Dramat miłosny? Morderstwo? A może rzeczywiście właśnie w zajeździe Dehmela słynny śląski dramaturg, przyjaciel Mickiewicza Karl von Holtei wpadł na pomysł farsy „Dreiunddreißig Minuten in Grünberg"?

Zawarczał silnik i na podwórze wjechał samochód dostawczy, wyszedłem więc na ulicę. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Teraz pozostawało mi tylko czekać na reakcję innych obywateli. O ile jakaś będzie...

Magicznej poczty nie można oszukać, dlatego mimo postępu techniki obywatele korzystają z metod opracowanych setki, a może nawet tysiące lat temu. Wysyłając list za pomocą magicznej skrzynki pocztowej, autor nie może podszyć się pod kogoś innego ani skłamać, bo magia bezlitośnie wyjawi jego prawdziwe intencje. Podpisałem się imieniem i nazwiskiem, jednak zanim mój list zniknął, ujrzałem, że figuruję tam jako „Ianus Magnus". Zastanawiałem się, o co chodzi z tym „wielkim", być może rzecz we wzroście, mam metr dziewięćdziesiąt, bo na pewno nie w magii, w tej kwestii jestem bardzo mały. Wzdrygnąłem się, przypomniawszy sobie Krajewskiego. Ciekawe, jak magia przetłumaczyłaby jego nazwisko. Założyłbym się, że przekład poszedłby raczej w stronę siekania i cięcia niż skojarzeń z krajem.

○